

Jan Bajkowski

Norblin szczery czy konwencjonalny

Historię sztuki zaczyna od daty urodzenia, szybko przebiega po latach dzieciństwa, aż wreszcie dorwawszy się do pierwszego rysunku, rozpoczyna z lubością wyszukiwanie i stwierdzanie wpływów. A więc, jeśli idzie o Norblina, w najwcześniejszym okresie twórczości — Watteau, potem oczywiście Casanova, potem, zdawałoby się, ni z tego ni z owego — Rembrandt, potem... i tu już trudniej rzucić następne nazwisko, zwłaszcza, że należałoby może nawrócić do samego początku. Bo skąd nagle owe pannaux dekoracyjne Powązek, Arkadij i dalekiego-litewskiego Zdzieciola? A przeto, równocześnie, owe rysunki tak dalekie od wyszukanej, krygowanej dworskości. Oczywiście — możnaby powiedzieć, że z chwilą zetknięcia się artysty z Polską rozpoczyna się wyraźnie kształtować jego indywidualność, co, gdy dwoistość jego sztuki wprowadza w kłopotliwe zastanowienie. Trudno się zdecydować, czy prawdziwy Norblin kręci się po magnackich pokojach, czy też włóczy się od karezmny do jarmarku, od jarmarku do sejmiku.

Chętniej się znamię szczeroci przyznawało temu drugiemu, czyniąc ze świetnego dekoratora oliarę panującego naówczas powszechnie smaku. Było to wtedy, gdy w malarstwie chorowano na nieco sentymentalną rodzajowość.

I tu nowa niekonsekwencja. Czytam np., że za panowania Stanisława Augusta różnego rodzaju obywateli, jak zawodowi dyplomaci, rzeźbiarze, malarze, architekci dające przez „nieimponujący kraj“ do wiecznie egzotycznej Rosji i zatrzymując się po drodze w stołecznej Warszawie i w największych dworach „znajdowali niezwykle przyjęcie i odkrywali ze zdziwieniem — kulturę“. Dzisiaj naprawdę niebardzo możemy zrozumieć tego wywyższania do pozejei kultury międzynarodowego, konwencjonalnego poloru, mającego posmak pospolitej mody, w przeciwstawieniu do schorzałej, przynajmniej, wówczas mocno, ale odrębnej, wielkiej cywilizacji, której siłę tak z miejsca uległ wybitny malarz, jakim bez kwestji był Norblin, cudzoziemiec, bliższy tej sztuce, która narzuciła ów panujący powszechnie styl i maniery. Kwestją jest bowiem, czy przejawem większej kultury było pisanie liścików do pana Delille'a z opisem piękności, rozkoszy i cudactw, pozakładanych olbrzymim nakładem „gaików“, w nadziei, że je poeta paroma składnemi wierszami uwieczni w nowym wydaniu swoich „Ogrodów“, czy też świetnie podchwycione i pokilkakrotnie przez artystę powtarzane sceny sejmowe lub tylko sejmikowe, będące przecież ilustracją starych praw i przywilejów.

A już chyba zupełnie niewiedomo, jak potraktować rezydencję takiego

pana Jerzego Dzieduszyckiego, tworzącego w swoich Cucułowach tandetną kopję Zofjówki, Powązek, Białogostu czy Wolezyna, w których gipsowe posągi szybko traciły na wietrze, deszczu i słońcu swój obowiązkujący wdzięk a różne drewniane „kościoty Dyanny“ straszły wyłazłem spod tynku otrzeźnowaniem. Wędrując na Wschód podróżnik mógł wprawdzie zatrzymać się tu na chwilę i podumać „nad nieszczęściem Pameli albo Heloisy“, ale czyż to nas ma zaraz upoważniać do wysnuwania niesłusznych i krzywdzących wniosków?

Odrzućmy tę markę malarza rodzajowego, przyklejoną Norblinowi, redukującą jego pozeję i wartość. Marka ta jest zresztą wynikiem zupełnie niemalarskiego spojrzenia; trudno się bowiem zgodzić na oglądanie twórczości pod kątem programowości, odsuwającej na dalszy plan walory plastyczne. A te przecież odgrywają ogromną rolę, gdy chodzi o zrozumienie artysty. Jeśli temat zajmował rzeczywiście poczesne miejsce w jego twórczości, łączył się on podświadomie czy też świadomie z odpowiednim traktowaniem, dając tem samem pełny, nieskłamany wyraz.

Przyjrzyjmy się jednemu z najlepiej skomponowanych malowideł, zdobiących pałac ks. Izabeli Czartoryskiej. Jakże to wszystko dobrze wychowane, z jaką gracją gra i słucha! Nikogo nie razi klawikord postawiony na murawie, zwłaszcza, że jak przystoi ówczesnemu otoczeniu, nawet i drzewa ułożyły się z niesłychanym wdziękiem, nieledwie w jakiejś zastygłej pozie menueta, wyuczonego przez pana d'Aigny. Z lewej strony dyskretnie (jakżeby mogło być inaczej!) ukryty ogromny wazon, który się akurat tak ustawił, ażeby pod nim mogła siedzieć wydana osoba kompozycji, podkreślona przez Norblina jasną plamą, wyraziście wybijającą się z tła. Jest to sposób, jakim artysta stale operuje

w układaniu kompozycji, co wypływa z przywiązywania dużej wagi do światła. Scena taka musi mieć subtelny koloryt o złotawym podkładzie (nie zapominajmy o roli werniksów) i rzeczywiście go posiada. Technika malowania miękko wciągająca far-

by, a mamy całość utrzymaną tak w kompozycji, jak i w manierze oraz sposobie malowania zupełnie i, nie wahajmy się użyć tego słowa — świetną. Dokument epoki, jeden z najcenniejszych i najcharakterystyczniejszych. A oto drugi, niemniej



J. P. Norblin

„Koncert w parku“

Alfred Jesionowski

Zapowiedź pierwsza

Osobny rodzaj literatury, na który u nas dotąd mało zwrócono uwagi, stanowi t. zw. literatura „rozrywkowa“, rodzaj, jaki reprezentują żółte tony ullsteinowskie w Niemczech. Wydawnictwo Wegnera w Poznaniu zapoczątkowało przed kilkoma laty ten rodzaj literatury, wydało kilkanaście toników, ale, jak się zdaje, książeczki te nie miały większego powodzenia, nie pisało i nie mówiło się nie o tem w prasie. Jeśli tomiki te istotnie nie miały większego powodzenia, to chyba nie ze

względem na treść, ale dlatego, że były stanowczo za drogie. To, co się widzi w kioskach „Ruchu“ na dworcach jako tania lektura — to przeważnie ostatnie śmiecie, podejrzani autorzy zagraniczni w jeszcze bardziej podejrzanych tłumaczeniach, i bardzo niewiele książek takich, które budzą zaufanie. Polskich autorów tej literatury jest wogóle niewiele.

Świeżo mamy do zanotowania powieść autora młodego, pomorzanina z pochodzenia, która budzi uzasadnione nadzieje, że w Antonim Kawczyńskim zyskaliśmy pierwszorzędnego beletrystę. Pierwsze swoje dłuższe nowele drukował Kawczyński w „Kurjerze Poznańskim“, były to „Talizman“, później bardzo ciekawe opowiadanie p. t. „Luna nad miastem“, a w ostatnim czasie nowele „Roman Selt zmienia pogląd na świat“ i „Przygoda w deszczu“. Nowele te cechuje duża kultura literacka, żywość akcji, umiar w szafowaniu efektami zewnętrznymi. Powieść, która się właśnie niedawno ukazała*, drukowana była wpieryw w „Ilustracji Polskiej“. Pod względem fabuły przypomina ona powieści Dekobry, ale reprezentuje znacznie wyższą klasę literacką.

Autor uniknął szczęśliwie niemal wszystkich wad, jakimi grzeszą Dekobra i Mostowicz. Powieść nie jest nasycona brudem i dwuznacznościami, w jakich się lubuje autor francuski, nie dzieje się rzeczy nieprawdopodobne, bohaterowie nie są nadludźmi, jak u Mostowicza w podobnej pod niejednym względem powieści (Bracia Dalec i Sp.), uzasadnienie psychologiczne postaci jest bardziej przemysłane. Nie potrafił zaś Kawczyński osiągnąć tego stopnia żywości akcji i napięcia zainteresowania, co autor „Braci Dalec“. To jest niewątpliwie słaby punkt powieści Kawczyńskiego. Pozatem — trochę za dużo sentymentalności i przedidealizowania. Na szczęście nie

tak, jak to spotykamy u popularnej już i u nas niestety pisarki niemieckiej, Courts-Mahler, której eukierkowatość przypisawo u młodości. Dalszą zaletą powieści Kawczyńskiego jest dbałość o styl, czystą i poprawną polszczyznę. Podkreślam to dlatego, bo właśnie nasza literatura rozrywkowa roi się od grzechów językowych i stylistycznych, jest wzorem, jak nie należy pisać i mówić. Jakże przyjemnie uderza w powieści Kawczyńskiego brak płaskich konceptów, banalnych i głupich dowcipów, naciąganych porównań, bezmyślnych nagromadzeń wszelkich superlatywów, jakimi zazwyczaj autorowie tego rodzaju literatury grzeszą. Od dobrej, literacko wysoko wartościowej powieści różni się utwór Kawczyńskiego brakiem pewnego kośca idcowego, starannego wykończenia szczegółów, pobieżnością szkicowania sytuacji, brakiem sumienniejszego przemyslenia zagadnień. Powieść nie nastręcza wiele substratu do myślenia. Ale wnioskując z tej pierwszej dłuższej powieści, posiada autor wszelkie dane by przejść od powieści „Jakkiej“ do utworu poważniejszego, powieści wykończonej, artystycznie wartościowej.

A teraz przejdźmy krótko do treści. Ewelina jest żoną wielkiego przemysłowca angielskiego, który pragnie uniemożliwić kryzysu zdobycie nowych rynków i pewną operację bluffową, mającą wszelkie fabryki swoje puścić w ruch przez cechy oszustwa. Ze strony konkurencji naskłano na przemysłowca agenta, który poznaje kręte jego drogi i w momencie sfinalizowania wielkiej operacji finansowej, grozi odkryciem całego bluffu, o ile się przemysłowiec sam nie wycofa. Aby unieszkodliwić agenta i zyskać na czasie dla przeprowadzenia operacji, uprowadza ów przemysłowiec przy pomocy polskiego wykończyciela Strubala, zresztą znanego i szlachetnego człowieka, owego agenta. Agentowi jednak udaje się uniknąć ze statku i w pościgu za nim doznaje przemysłowiec tak ciężkich obrażeń, że w następstwie tego umiera. Cała oszukana akcja wielkiego przemysłowca wychodzi najaw i Ewelina, dotąd

charakterystyczny, przedstawiający teatr kukiełek. Jakież to zupełnie inne! Coprawda widać tam i panie, przypominają one jednak bardziej ogród cucułowicki, i to odwiedzany przez łaskawie dopuszczone sąsiedztwo, zasobne jedynie w zachwaszone sad, anizeli arkadyjskie damy, poprzecierane za kapłanki, przyjmujące zachwyconych a czasami także zażenowanych (szlachta-bracia) gości. Niemniej jednak z całego obrazu aż bije tęga rubasznosc, daleka od różnów, prowadzonych na powązkowskich kiermaszach. Mocne, proste wnętrza, prosta ławka, świetnie podkreślony brzuch jednej z postaci, a nawet błędnie natrysowany chłopiec, patrzący z niekłamany zachwytem na widowisko, jakiś nieledwie prymityw w sposobie malowania, rysunku, kolorze, sprawiają, że całość wywiera zastanawiające wrażenie. Nie bowiem w tej scenie niema z ukazywania rozbawionej elicie szlacheckich prostactków, oświetlających gęby na widok grających kukiełek. Jest to szczerze wnikiwe w ten inny świat, żyjący poza parkanem magnackich rezydencji.

A jaką siłą rozporządzał on wiadnie, dają nam przykład dwa rysunki, będące wynikiem zetknięcia się artysty z Polską. Są nimi: „Pułkownik“ i „Kozak“. Wprawdzie na podstawie dociekań naukowych udowodnia się nimi pokrewieństwo ze starym mistrzem Casanovą, ale trud ten wydaje mi się najzupełniej zbędny, nie o układ bowiem chodzi, nie o to, że za główną postacią widać inne, mniejsze i nie o samą tematowość kompozycji. Zaprawdę drugorzędną rzeczą są szczegóły ubioru, ważniejszą i ciekawszą sprawą jest jakby nagle cofnięcie się wstecz do linii rysunku, mającej wszelkie cechy baroku tak mocno i szczególnie związanej z kulturą polską. Poprostu nie chce się wierzyć, że ta sama ręka malowała np. grupę tancerzy na jednym z pannaux dekoracyjnych powązkowskiej rezydencji, a

jednocześnie szkicowała takiego „pułkownika“. Tam wysmukła manieryczność wyciągała każdą postać ku górze, tu mamy pełną, puculowaną bryłę. Albo porównanie wyglądzonych dworskich postaci z nerwową linją figury „Kozaka“, przypominającą w swym charakterze niespokojne rzeźby, postawiane na ołtarzach jezuickich kościołów.

Widzimy w tem zadziwiające, instynktowne dostosowywanie środków dla wydobycia właściwego wyrazu. Ani jednej fałszywej nuty. Ani jednego naciągania. Każde dzieło mówi swoim językiem, znać, że artysta nie nieszwał towarzystwa, że albo przebywał w jednym, albo w drugim.

Dlatego nie spotykamy w jego twórczości dzieł, któreby przedstawiały parodje Arkadyj czy Zofjówek, lub też dawały obraz przeniesienia gipsowych Wersalów na ubogie folwarki, jak to nam ilustruje np. zachowane w bibliotece Pawlikowskich we Lwowie płótno Kornela Szlegla, łązące rzetelny samantyzm, brogi, strzechy, skromną dziewczannę ze zmanierowanymi drzewami, damą, przygryzającą na harfie i młodzińcem, dmuchającym we flet.

Obrazek ten mówi wiele. Dosadnie maluje dwie odrębne kultury: harfy, fletu i układnej damy z brogiem, strzechą, dziewczanną i owymi statystami, rozprawiającymi do publicis, albo o tem, co obrodziło, a co grad wylukł. Nigdy bowiem, jak w tamtej epoce, nie było tak wyraźnego podziału, dwóch po prostu już nie środowisk, ale światów.

W którym z nich Norblin jest prawdziwy? Czy należy cenić wyszukanego dekoratora, uwieczniającego przeczuloną duszę ówczesnej sentymentalnej dworskości, czy też wrażliwego na przewalające się z dnia na dzień życie, z całą jego barwą, malarza?

Ci sami, którzy się dziwią wraz z cudzoziemcami odnajdowanej w większych środowiskach kulturze, za jedną z największych zasług Norblina poezytują założenie szkoły, wywodzącej się z podchwytowania tego drugiego świata...

Jedno duże nieporozumienie.

Wielka dama ówczesna równie zła się czuła na dziedzińcu swych niezliczonych folwarków, jak jakaś powiatowa wielkość z podgoloną głową — w świątyni Sybilli. Wszystko zaś na swoim miejscu było prawdziwe. Obowiązujący, mody konwens tak już wszedł w błękitną krew, że wyścisnął niekłamane lzy po śmierci Filusia. Utrwalanie go pendzlem było niemniej szczerze, jak i notowanie karczemnej sceny. Dlatego nieprawdą jest, że istniało dwóch Norblinów. Był jeden, taki, jakie były czasy, w których żył. Sztuka jego jest cenna, ponieważ była współczesna.

Może to będzie lekeja i... nas.



J. P. Norblin

„Pułkownik“



J. P. Norblin

„Kozak“

*) Antoni Kawczyński: Mężczyźni dokoła Eweliny. Powieść współczesna. Wydawnictwo Polskie (K. Wegner) Poznań 1934, str. 255.